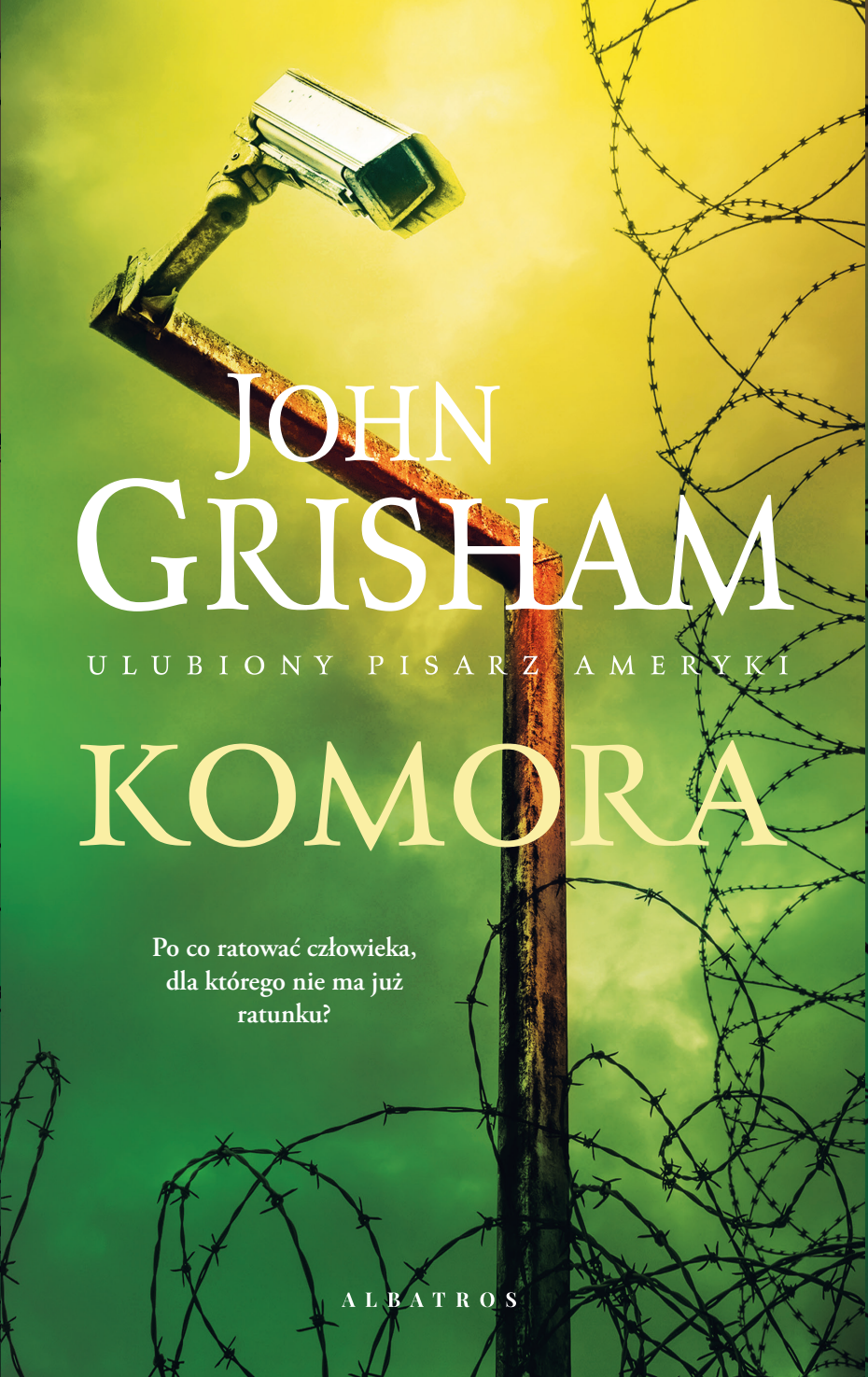




JOHN
GRISHAM

ULUBIONY PISARZ AMERYKI

KOMORA

Po co ratować człowieka,
dla którego nie ma już
ratunku?

ALBATROS

Tytuł oryginału:
THE CHAMBER

Copyright © John Grisham 1994
All rights reserved

Polish edition copyright © Wydawnictwo Albatros Sp. z o.o. 2017

Polish translation copyright © Lech Z. Żołędziowski 2013

Redakcja: Agnieszka Łodzińska

Projekt graficzny okładki: Agnieszka Drabek / Wydawnictwo Albatros Sp z o.o.

Zdjęcie na okładce: © Dave Wall/Arcangel Images

Wydawca

Wydawnictwo Albatros Sp. z o.o.
Hłonda 2A/25, 02-972 Warszawa
wydawnictwoalbatros.com

Facebook.com/WydawnictwoAlbatros | Instagram.com/wydawnictwoalbatros



Rozdział 1

Decyzja o podłożeniu bomby w biurze zawziętego żydowskiego adwokata zapadła stosunkowo łatwo. W jej podjęciu uczestniczyły tylko trzy osoby. Jedną z nich był człowiek finansujący przedsięwzięcie, drugą miejscowy aktywista, trzecią młody patriotyczny fanatyk, który znał się na materiałach wybuchowych i miał niezwykłą umiejętność znikania bez śladu. Po podłożeniu tej bomby zniknął i przez sześć lat ukrywał się w Irlandii Północnej.

Celem ataku był Marvin Kramer, przedstawiciel czwartego pokolenia osiadłych w stanie Missisipi żydowskich imigrantów, którzy dorobili się na handlu w Delcie Missisipi. Mieszkał w Greenville, nadrzecznym miasteczku z niewielką, ale prężną mniejszością żydowską, w starym dużym domu sprzed wojny secesyjnej. Miasteczko było spokojne i zamieszki na tle rasowym prawie się tu nie zdarzały. Marvin zdecydował się na studia prawnicze, bo zajmowanie się handlem go nudziło. Jak większość Żydów pochodzenia niemieckiego, jego rodzina bez trudu wtopiła się w kulturę amerykańskiego Południa i jej członkowie uważali się za typowych południowców, którzy od sąsiadów różnili się tylko wiarą. Prawie nie spotykali się z przejawami antysemityzmu i uprawiali swój zawód jako pełnoprawni członkowie miejscowej socjety.

Jednak losy Marvina potoczyły się inaczej. Pod koniec lat pięćdziesiątych ojciec wysłał go na północ, gdzie spędził cztery lata w college'u w Brandeis i kolejne trzy na wydziale

prawa Uniwersytetu Columbia. Gdy w 1964 roku powrócił do Greenville, stan Missisipi stał już w ogniu walki o prawa obywatelskie dla mniejszości etnicznych i rasowych. Marvin z pełnym zaangażowaniem rzucił się w jej wir i już niecały miesiąc po otwarciu skromnej kancelarii wraz z dwoma kolegami z Brandeis został aresztowany za próbę wpisywania czarnych na listy wyborców. Ojciec się na niego wściekł, cała rodzina miała mu to za złe, ale na Marvinie nie zrobiło to wrażenia. Gdy miał dwadzieścia pięć lat, po raz pierwszy zagrożono mu śmiercią, i od tej pory zaczął nosić broń. Kupił też pistolet żonie, dziewczynie z Memphis, a także polecił ich czarnoskórej pomocy domowej, by zawsze miała w torebce broń. Bliźniacy Kramerów mieli wtedy po dwa i pół roku.

Pierwszy pozew z kancelarii prawniczej Marvin B. Kramer i Partnerzy – choć wtedy nie było jeszcze żadnych partnerów – trafił do sądu w roku 1965 i dotyczył notorycznego naruszania przez urzędników miejscowej administracji prawa do głosowania. O sprawie pisano na pierwszych stronach tutejszych gazet, które pokazały też zdjęcie Marvina. To starczyło, by trafił na listy Ku-Klux-Klanu do grona Żydów zasługujących na nauczkę. Był żydowskim radykałem z brodą i miękkim sercem, wykształconym przez Żydów z Północy, który podburzał czarnych z Delty Missisipi*. Czegoś takiego nie można było tolerować.

Potem jeszcze rozeszły się pogłoski, że Kramer z własnych pieniędzy wpłaca kaucje za Jeźdźców Wolności** i innych działaczy w walce o prawa czarnej mniejszości. Wytaczał też sprawy sądowe przeciw ograniczaniu swobód pod hasłem „tylko dla białych” i sfinansował odbudowę kościoła dla czarnych,

* Delta Missisipi – region między rzekami Missisipi a Yazoo, niebędący geograficzną deltą, nazywany też w Stanach Zjednoczonych „najbardziej południowym miejscem na ziemi” ze względu na jego rasową, kulturową i etniczną historię.

** Jeźdźcy Wolności (Freedom Riders) – uczestnicy organizowanej na początku lat sześćdziesiątych XX wieku akcji bojowników o prawa obywatelskie, którzy podróżowali autobusami po południowych stanach, świadomie łamiąc obowiązujące przepisy o segregacji rasowej.

podpalonego przez KKK. Przyjmował też w domu czarnoskórych, a także jeździł na Północ i wygłaszał mowy do tamtejszych Żydów, namawiając ich do czynnego udziału w walce o prawa mniejszości. Pisał sążniste listy do miejscowych gazet, jednak tylko kilka z nich ukazało się drukiem. Krótko mówiąc, mecenas Kramer zdecydowanym krokiem zmierzał ku swemu przeznaczeniu.

Obecność nocnego stróża, który noc w noc sumiennie pilnował klombów wokół domu, zapobiegła bezpośredniemu atakowi na dom Kramerów. Stróż był uzbrojonym po zęby dawnym policjantem, którego Kramer zatrudniał od dwóch lat, rozpowiadając po całym Greenville, że on i jego rodzina znajdują się pod stałą ochroną doświadczonego strzelcy wyborowego. Członkowie Ku-Klux-Klanu, do których to oczywiście dotarło, woleli zostawić dom Kramerów w spokoju. Dlatego zapadła decyzja, że celem ataku stanie się biuro Marvina Kramera.

Przygotowanie całej akcji trwało bardzo krótko, głównie dlatego, że uczestniczyło w nim tak niewiele osób. Facet z kasą, arogancki i pewny siebie burak nazwiskiem Jeremiahs Dogan, pełnił w tym czasie funkcję Wielkiego Maga Klanu w stanie Missisipi. Jego poprzednika właśnie wsadzono do więzienia i Dogan z entuzjazmem przejął obowiązki kierującego akcją podkładania bomb. Mógł być prostakiem, ale nie był głupi. Do tego stopnia, że FBI przyznało później, że Dogan doskonale sprawdził się w roli terrorysty, przyjął bowiem zasadę rozdzielania brudnej roboty między małe autonomiczne bojówki działające zupełnie niezależnie od siebie. FBI odnosiło sukcesy w infiltrowaniu szeregów Klanu i zdobywaniu informatorów, w związku z czym Dogan nie ufał nikomu poza rodziną i garstką najbliższych współpracowników. Był właścicielem największej w Meridian firmy handlującej używanymi samochodami i dzięki różnym przekrętom zarabiał krocie. Bywał też kaznodzieją i czasami wygłaszał kazania w wiejskich kościołkach.

Drugim członkiem grupy był Sam Cayhall z Clanton w okręgu Ford w Missisipi, trzy godziny na północ od Meridian

i godzinę na południe od Memphis. Agenci FBI dobrze znali Cayhalla i wiedzieli, że należy do Ku-Klux-Klanu, nie wiedzieli natomiast nic o jego powiązaniach z Doganem. W jego stronach Klan praktycznie nie przejawiał aktywności i Cayhalla uważano bardziej za nieszkodliwego dziwaka. Ostatnio w okręgu Ford spalono wprawdzie kilka krzyży, ale nie doszło do żadnych zamachów i nikt nie zginął. FBI wiedziało, że ojciec Cayhalla też kiedyś należał do Klanu, ale całą rodzinę uważano za z gruntu nieszkodliwą. Wciągnięcie do akcji Sama Cayhalla było ze strony Dogana świetnym posunięciem.

Sygnałem do rozpoczęcia akcji w biurze Kramera był telefon wieczorem siedemnastego kwietnia 1967 roku. Podejrzewając – zresztą słusznie – że jego telefony są na podsłuchu, Dogan odczekał do północy i pojechał na stację benzynową na południe od Meridian. Podejrzewał, że jest śledzony przez agentów FBI, w czym też się nie mylił, bo nie odstępowali go na krok, nie wiedzieli natomiast, do kogo dzwoni z automatu na stacji.

Sam Cayhall wysłuchał wiadomości, zadał kilka pytań, odłożył słuchawkę i spokojnie wrócił do łóżka. Nic nie powiedział żonie, ona zaś była na tyle taktowna, by o nic go nie pytać. Następnego dnia wcześniej rano wyszedł z domu, wsiadł w samochód i pojechał do Clanton. Jak co dzień zjadł śniadanie w The Coffee Shop, po czym spokojnie wykręcił numer automatu w budynku sądu okręgowego.

Dwa dni później, dwudziestego kwietnia o zmroku, Cayhall wyjechał z Clanton i odbył dwugodzinną podróż do Cleveland w Missisipi, godzinę drogi od Greenville. Stanął na parkingu ruchliwego centrum handlowego i poczekał całe czterdzieści minut, ale zielony pontiac się nie pojawił. W obskurnym barku zjadł porcję smażonego kurczaka i pojechał do Greenville, by przyjrzeć się siedzibie kancelarii Marvin B. Kramer i Partnerzy. Dwa tygodnie wcześniej przez cały dzień wałęsał się po Greenville, co pozwoliło mu nieźle poznać miasteczko. Bez trudu odszukał biuro Kramera, potem przejechał obok jego wielkiej posiadłości nad rzeką, potem jeszcze raz zlokalizował synagogę. Dogan go uprzedził, że synagoga może być ich

następnym celem, ale najpierw muszą się rozprawić z żydowskim adwokatem. O jedenastej wieczorem był już z powrotem w Cleveland i tym razem zobaczył zielonego pontiaca, tyle że nie na parkingu centrum handlowego, a na parkingu dla ciężarówek przy szosie 61, który stanowił zapasowy punkt kontaktowy. Znalazł kluczyki pod dywanikiem przed fotelem kierowcy, wsiadł i ruszył w drogę pośród żyznych pól Deltę. Zatrzymał się na jednej z polnych dróg i otworzył klapę bagażnika. W kartonie pod warstwą starych gazet leżało piętnaście lasek dynamitu, trzy detonatory i lont. Wrócił do miasteczka i zasiadł w całonocnej kafejce.

Dokładnie o drugiej nad ranem do kafejki wszedł trzeci z członków ekipy i usiadł przy stoliku Cayhalla. Nazywał się Rollie Wedge i miał niespełna dwadzieścia dwa lata, ale już cieszył się reputacją godnego zaufania uczestnika wojny w kwestii praw obywatelskich. Utrzymywał, że jest z Luizjany i obecnie mieszka w górach, gdzie go nikt nie znajdzie. Nie był z natury chwalipiętą, ale kilkakrotnie powtórzył Cayhallovi, że gotów jest oddać życie za supremację białej rasy. Jego ojciec też należał do Klanu, prowadził firmę rozbiórkową i to od niego Rollie nauczył się obchodzić z materiałami wybuchowymi.

Sam niewiele wiedział o Wedge'u, ale nie bardzo wierzył w jego opowieści. Nigdy też nie spytał Dogana, skąd tego chłopaka wytrzasnął.

Pół godziny minęło na sączeniu kawy i rozmowie o niczym. Kubek Cayhalla chwilami drżał mu w palcach, dłoń Roliego była spokojna i nieruchoma, a on nawet nie mrugnął okiem. Już parę razy uczestniczyli w tego typu akcjach i Cayhall nie mógł się nadziwić, że ktoś tak młody umie zachować taki spokój. W raportach składanych Doganowi zawsze podkreślał, że chłopakowi nigdy nie puszczaają nerwy, nawet gdy podchodzi do celu i bierze do ręki dynamit.

Samochód, którym Wedge przyjechał, został wypożyczony na lotnisku w Memphis. Po wyjściu z kafejki Wedge zabrał niewielką torbę z tylnego siedzenia, zamknął wóz i usiadł obok Cayhalla. Zielony pontiac z Cayhallem za kierownicą

wyjechał z Cleveland i ruszył na południe szosą 61. Docho-
dziła trzecia nad ranem i prawie nie było ruchu. Kilka kilome-
trów za wioską Shaw Cayhall skręcił w ciemną szutrową dro-
gę i się zatrzymał. Rollie kazał mu zostać w samochodzie, sam
zaś wysiadł, żeby sprawdzić materiały w bagażniku. Wziął z
sobą torbę, włożył do bagażnika i dokładnie obejrzał dynamit,
detonatory i lont. Zatrzasnął klapę, wrócił na miejsce i kazał
Samowi ruszać do Greenville.

Po raz pierwszy przejechali obok kancelarii Kramera około
czwartej nad ranem. Na ulicy było pusto i ciemno; Rollie bąk-
nął, że zanosi się na najłatwiejszą robotę ze wszystkich.

– Szkoda, że nie można wysadzić domu – mruknął pod no-
sem, gdy mijali posiadłość Kramerów.

– No, szkoda – odrzekł Cayhall niepewnie. – Ale wiesz, ma
tam ochroniarza.

– Tak, wiem. Sądzę, że byśmy sobie z nim poradzili.

– Pewnie tak. Tylko że są tam też dzieci.

– Najlepiej je zabijać, póki są małe – burknął Rollie. – Z
małych żydowskich gnojków wyrastają potem duże żydow-
skie gnoje.

Cayhall zaparkował w zaułku na tyłach kancelarii Kramera.
Zgasił silnik i obaj wysiedli. Ostrożnie otworzyli bagażnik i
wyjawszy karton i torbę, ruszyli wzdłuż żywopłotu do tylnego
wejścia do budynku.

Cayhall bez trudu sforsował drzwi i po paru sekundach
byli już w środku. Udając, że szuka jakiegoś adresu, Sam
dwa tygodnie wcześniej zajrzał do biura Kramera i zamienił
parę słów z recepcjonistką, po czym poprosił o pozwolenie na
skorzystanie z toalety. W przejściu między toaletą a drzwiami
prowadzącymi do gabinetu – zapewne Kramera – stała wąska
szafa z segregatorami pełnymi starych szpargałów.

– Stań przy drzwiach i pilnuj, czy nikt nie idzie – zarządził
chłodnym tonem Rollie, a Sam bez namysłu wykonał polece-
nie. Wolał stać na czatach i nie brać do ręki materiałów wybu-
chowych.

Rollie szybko wepchnął karton do dolnej części szafy i
uzbroił bombę. Wymagało to precyzji ruchów i serce waliło

Samowi jak młotem. Jak zawsze podczas tego typu akcji, na wszelki wypadek ustawił się do Wedge'a plecami.

Cała operacja nie trwała nawet pięciu minut. Wyszli z budynku i spokojnym krokiem ruszyli w stronę zielonego pontiac. Byli niezwykcieżeni, wszystko wydawało im się takie łatwe. Mieli już za sobą podłożenie bomby w biurze agencji nieruchomości w Jackson, bo jej właściciel odważył się sprzedać dom czarnej parze, a w dodatku sam był Żydem. Wyszli też z biura lokalnej gazety, ponieważ jej wydawca zajmował neutralne stanowisko w kwestii segregacji rasowej. Obrócili też w kupę gruzu największą w całym stanie synagogę w Jackson.

Na zgaszonych światłach wyjechali z zaułka i Sam zapalił reflektory, dopiero gdy pontiac znalazł się na ulicy.

We wszystkich dotychczasowych ładunkach Wedge stosował piętnastominutowy lont, który zapalał zapałką jak zwykłą petardę. Mieli potem zwyczaj otwierać szyby w samochodzie i krążyć po okolicy tak długo, aż ciszę rozrywała potężna detonacja. Robili to zawsze z bezpiecznej odległości, po czym spokojnie opuszczali miejscowość.

Dziś jednak miało być inaczej. Sam pomylił drogę, skręcił w niewłaściwą przecznicę i nagle wyrosły przed nimi migające czerwone światła na przejeździe kolejowym, gdzie musieli poczekać na przejazd dość długiego pociągu towarowego. Sam nerwowo zerkał na zegarek, podczas gdy Rollie siedział nieporuszony. Pociąg wreszcie przejechał, Sam ruszył i znowu źle skręcił. Znaleźli się w pobliżu rzeki, w oddali wznosiła się sylwetka mostu, nadbrzeżna ulica była zabudowana rozpadającymi się ruderami. Sam raz jeszcze spojrział na zegarek. Wynikało z niego, że ziemia zadrży za niecałe pięć minut, i zdecydowanie wolałby się już znajdować na pustej ciemnej szosie. Rollie poruszył się tylko raz na znak zniecierpliwienia brakiem uwagi swego kierowcy, ale nic nie powiedział.

Kolejny skręt, kolejna przecznica. Greenville nie było dużym miastem, więc Sam uznał, że jeśli będzie konsekwentnie skręcał, w końcu dotrze do jakiejś ulicy, którą rozpozna. Kolejny nieudany skręt okazał się jednocześnie ostatnim. Wjechał pod prąd w jednokierunkową ulicę i gwałtownie wdepnął

hamulec; samochód szarpnął i silnik zgasł. Sam przesunął dźwignię biegów w pozycję „park” i przekręcił kluczyk; rozrusznik gładko zadziałał, jednak silnik nie zaskoczył. A potem w powietrzu zapachniało benzyną.

– Jasna cholera! – syknął Sam przez zaciśnięte zęby. – Jasna cholera!

Rollie wcisnął się głębiej w fotel i spojrział przez okno.

– Jasna cholera! Zalał się! – Ponownie przekręcił kluczyk, ale znów bez rezultatu.

– Nie wyczerp akumulatora – powiedział spokojnie Rollie.

Sam był bliski paniki. Wprawdzie się zgubił i nie bardzo wiedział, gdzie jest, jednak czuł, że nie odjechali daleko od centrum. Głęboko westchnął i rozejrzał się po ulicy, potem znów spojrział na zegarek. Wokół nie było żadnych samochodów, wszędzie panowała cisza. Nic, tylko podkładać bomby. Oczami wyobraźni widział tłący się lont. Czuł drżącą pod nogami ziemię, słyszał trzask rozrywanego drewna, huk wałącego się muru, brzęk pękających szyb. Przemknęło mu przez głowę, że są tak blisko, że mogą nawet dostać odłamkami.

– Można by pomyśleć, że Dogan przyśle jakiś przyzwoity samochód – burknął pod nosem. Rollie siedział nieruchomo, wpatrując się w coś za oknem.

Od wyjścia z biura Kramera minęło dobre piętnaście minut i lada chwila można się było spodziewać eksplozji. Otarł rękawem krople potu z czoła i raz jeszcze przekręcił kluczyk. Tym razem silnik łaskawie zaskoczył. Sam zerknął z uśmiechem na Rolliego, ten jednak nadal siedział nieporuszony, jakby to wszystko go nie dotyczyło. Wycofał więc samochód z jednokierunkowej uliczki i pędem ruszył przed siebie. Kolejna ulica wyglądała znajomo i dwie przecznice dalej skręcili w Main Street.

– Jakiego lontu użyłeś? – spytał Sam, gdy w końcu dotarli do wjazdu na szosę 82, niecałe dziesięć przecznic od biura Kramera.

Rollie wzruszył ramionami, jakby to była jego sprawa i Cayhall nie powinien nawet pytać. Zwolnili na widok zaparkowanego na poboczu radiowoza, potem znów przyśpieszyli

i dotarli do końca zabudowań. Chwilę później Greenville zostało już za nimi.

– Jakiego lontu użyłeś? – powtórzył Sam, tym razem bardziej natarczywie.

– Wypróbowałem coś nowego – odrzekł Rollie, nie odwracając głowy.

– Co?

– I tak tego nie zrozumiesz – burknął chłopak i Sam poczuł narastający gniew.

– Jakiś zapalnik czasowy?

– Coś w tym rodzaju.

△ △ △

Całą drogę do Cleveland odbyli w milczeniu. Cayhall zerkał we wsteczne lusterko i widząc, jak światła Greenville stopniowo rozmywają się w oddali, spodziewał się ujrzeć ognistą kulę i usłyszeć daleki huk eksplozji, jednak nic takiego nie nastąpiło. Wedge chyba niczego nie oczekiwał, bo nawet trochę się zdrzemnął.

Na parkingu było pełno ciężarówek, ich kierowcy tłoczyli się w przydrożnej knajpie. Rollie jak zwykle wysiadł bez słowa i zatrzasnął za sobą drzwi.

– Do następnego razu – rzucił przez otwarte okno i ruszył do swojego samochodu z wypożyczalni. Sam odprowadził go wzrokiem, jak zwykle zdumiony jego opanowaniem i zimną krwią.

Było po wpół do szóstej i niebo na wschodzie zaczynało różowieć. Sam wyjechał z parkingu; zielony pontiac ruszył szosą 61 z powrotem na południe.

△ △ △

Koszmar ataku bombowego na biuro Kramera zaczął się mniej więcej w chwili, gdy drogi Roliego Wedge’a i Sama Cayhalla rozeszły się w Cleveland. Najpierw zadzwonił budzik na stoliku nocnym tuż przy głowie Ruth Kramer. Włączył się jak zwykle o piątej trzydzieści, tyle że Ruth od razu poczuła, że jest z nią coś nie tak. Czuła lekką gorączkę, świdrujący

ból w skroniach i mdłości. Marvin pomógł jej dowlec się do łazienki, a ona przesiedziała w niej całe pół godziny. Od miesiąca w Greenville szalał wirus paskudnej grypy i wyglądało na to, że właśnie odnalazł drogę do domu Kramerów.

O szóstej trzydzieści służąca obudziła pięcioletnich bliźniaków Kramerów, Josha i Johna, i dopilnowała, by szybko wzięli prysznic, ubrali się i zjedli śniadanie. Marvin uznał, że najlepiej będzie nic nie zmieniać w planie i zawieźć chłopców do przedszkola, co uchroni ich przed złapaniem wirusa od matki. Przed wyjściem zadzwonił do znajomego lekarza, poprosił o wystawienie recepty i zostawił służącej dwadzieścia dolarów na lekarstwo, po które miała iść do apteki. Zostawił Ruth na podłodze w łazience z poduszką pod głową oraz woreczkiem lodu na twarzy i wyjechał z domu z chłopcami.

Jego praca nie ograniczała się tylko do potyczek sądowych w sprawie przestrzegania praw obywatelskich. W roku 1967 nie było ich w Missisipi aż tak wiele, by dało się z tego wyżyć. Zajmował się też sprawami kryminalnymi, a także typowymi sprawami cywilnymi: rozwodami, bankructwami, umowami kupna i sprzedaży nieruchomości. I mimo iż jego ojciec prawie się do niego nie odzywał, a reszcie rodziny z trudem przychodziło wymawiać jego imię, jedną trzecią czasu spędzanego w kancelarii poświęcał sprawom rodzinnym. Akurat tego dnia miał się stawić w sądzie o dziewiątej, by złożyć wniosek w sprawie nieruchomości należącej do jego wuja.

Chłopcy uwielbiali bywać w jego biurze. W przedszkolu powinni zjawić się o ósmej, miał więc trochę czasu, by przed odstawieniem ich tam i pójściem do sądu zająć się sprawami bieżącymi. Wizyty chłopców w biurze zdarzały się mniej więcej raz w miesiącu, ale nie było dnia, by go nie błagali, żeby zabrał ich do pracy i dopiero stamtąd zawiózł do przedszkola.

Dotarli do kancelarii około wpół do ósmej i chłopcy bez zastanowienia dopadli biurka recepcjonistki, gdzie jak zwykle leżała sarta papierów czekająca na posegregowanie, skopiowanie, pospinanie i powkładanie do kopert. Biuro było dość duże, składało się z kilku pomieszczeń, które w miarę rozwoju kancelarii były remontowane i udostępniane. Drzwi

wejściowe prowadziły do niewielkiej poczekalni, w której biurko recepcjonistki stało niemal wciśnięte pod schody. Pod ścianami ustawiono cztery krzesła dla klientów, na podłodze leżały sterty czasopism. Po prawej i lewej znajdowały się drzwi prowadzące do gabinetów dwóch pracowników, jako że Marvin zatrudniał już trzech prawników. Na wprost poczekalnia przechodziła w korytarz prowadzący w głąb budynku i jakieś dwadzieścia pięć metrów od drzwi frontowych znajdowało się tylne wyjście z budynku. Największym pomieszczeniem na parterze był gabinet Marvina, do którego prowadziły ostatnie drzwi po lewej, tuż obok szafy z segregatorami. Po drugiej stronie korytarza, dokładnie naprzeciwko gabinetu Marvina, mieścił się pokój jego osobistej sekretarki. Miała na imię Helen i była zgrabną młodą kobietą, która już od półtora roku pojawiała się w jego snach.

Na pierwszym piętrze znajdował się gabinet trzeciego pracownika oraz pokoje dwóch sekretarek. Drugie piętro nie miało ogrzewania i klimatyzacji, więc znajdujące się na nim pomieszczenia wykorzystywano na archiwum i podręczny magazynek.

Marvin zwykle przyjeżdżał do biura między siódmą trzydzieści a ósmą, ponieważ lubił mieć godzinę spokoju przed przyjściem personelu i rozdzwonieniem się telefonów. W piątek dwudziestego pierwszego kwietnia jak zwykle zjawił się w biurze jako pierwszy.

Otworzył kluczem drzwi wejściowe, zapalił światło i zatrzymał się w poczekalni. Chciał przypomnieć bliźniakom, że nie wolno im bałaganić na biurku Helen, ale nim zdążył otworzyć usta, już ich przy nim nie było. Zanim ich dogonił i wsadziwszy głowę do środka, wygłosił swoje nauki, Josh zdążył już chwycić nożyczki, a John pstrykał zszywaczem. Marvin uśmiechnął się, wszedł do siebie i po chwili bez reszty pogrążył się w papierach.

Mniej więcej kwadrans przed ósmą – jak to sobie później odtworzył w szpitalu – poszedł na drugie piętro po teczkę z dokumentami, które miały mu się przydać w jednej z bieżących spraw. Mrucząc coś pod nosem, ruszył schodami na górę

i to – jak się później okazało – uratowało mu życie. Idąc po schodach, słyszał dobiegający z dołu śmiech chłopców.

Wybuch rozszedł się pionowo i poziomo z szybkością paru tysięcy metrów na sekundę. Piętnaście lasek dynamitu w budynku o drewnianej konstrukcji w mgnieniu oka zamieniło go w rumowisko. Wybuch był tak potężny, że opadanie drewnianych szczap i gruzu trwało blisko minutę. Ziemia pod nogami zadrżała, jakby nastąpiło trzęsienie, a – jak to później zeznali świadkowie – deszcz spadających na ulice Greenville okrucichów szkła zdawał się nie mieć końca.

Josh i John znajdowali się około czterech metrów od epicentrum wybuchu i na swoje szczęście nawet nie zdążyli się zorientować, co się stało. Przynajmniej nie cierpieli. Ich zmasakrowane zwłoki znaleźli strażacy pod dwuipółmetrową warstwą gruzu. Kamera najpierw rzuciło o sufit pomieszczenia na drugim piętrze, potem nieprzytomny runął wraz z fragmentami stropu do dymiącego krateru pośrodku budynku. Znalezione go po dwudziestu minutach i zawieziono do szpitala, gdzie przed upływem trzech godzin poddano go amputacji obu nóg na wysokości kolan.

Wybuch nastąpił dokładnie o siódmej czterdzieści sześć i można to było uznać za szczęśliwe zrządzenie losu. Sekretarka Marvinina, Helen, właśnie wychodziła z poczty cztery przecznice dalej, kiedy poczuła silny podmuch. Gdyby wybuch nastąpił dziesięć minut później, zastałby ją w środku szykującą kawę. Mieszkający trzy przecznice od biura David Lukland, młody pracownik Kramera, właśnie wychodził z mieszkania, gdy poczuł i usłyszał wybuch. Dziesięć minut później siedziałby już przy biurku w swoim gabinecie na pierwszym piętrze.

W sąsiednim budynku wybuchł pożar i choć ogień był niewielki i został szybko ugaszony, bardzo przyczynił się do ogólnego zamieszania. Dobywający się z budynku dym był przez jakiś czas bardzo gęsty, co skłoniło wielu mieszkańców do panicznej ucieczki.

Były też dwie ofiary wśród przechodniów. Metrowy kawał belki o przekroju pięć na dziesięć centymetrów wylądował na chodniku, sto metrów od budynku, odbił się i walnął panią

Mildred Talton prosto w twarz w chwili, gdy wysiadła z zaparkowanego samochodu, by przyrzeć się wybuchowi. Doznała złamania nosa i głębokich ran twarzy, ale na szczęście dość szybko się z tego wylizała.

Obrażenia drugiej z ofiar były mniejsze, ale ich konsekwencje okazały się dużo poważniejsze. Sam Cayhall szedł wolno chodnikiem w stronę biura Kramera, gdy ziemia tak mu się zatrzęsa pod nogami, że stracił równowagę i upadł na krawężnik. Wstając, dostał jednym okrucieństwem szkła w szyję, drugim w lewy policzek. Uskoczył za pień drzewa, by zasłonić się przed deszczem okrucieństw szkła i innych śmieci, potem spojrział na roztaczający się przed nim obraz spustoszenia i rzucił się do ucieczki.

Kapiąca z policzka krew wsiąkała mu w koszulę, tworząc rozległą plamę. Był w szoku i później niewiele z tego pamiętał. Wsiadł do zielonego pontiaca i pośpiesznie odjechał z miejsca zamachu. Pewnie udałooby mu się po raz drugi bezpiecznie wyjechać z miasta, gdyby nie był tak oszołomiony i trochę bardziej uważał. Zawiadomieni o wybuchu dwaj policjanci w radiowozie ruszyli pędem w kierunku centrum i niemal wpadli na wlokącego się środkiem jezdni zielonego pontiaca, który nie zjechał na bok i nie ustąpił drogi. Radiowóz jechał z włączonymi lampami i wyjącą syreną, gliniarze dodatkowo trąbili i wrzeszczeli, ale kierowca pontiaca uparcie trzymał się środka jezdni i nie reagował. Gliniarze zatrzymali radiowóz, podbiegli do auta i szarpnąwszy za drzwi, ujrzeni w środku zakrwawionego mężczyznę. Wyciągnęli go, skuli mu ręce kajdankami i niezbyt delikatnie wpakowali na tylne siedzenie radiowozu. W rezultacie Sam trafił do aresztu, a zielonego pontiaca odprowadzono na policyjny parking.

△ △ △

Bomba, która zabiła bliźniaków, należała do najprymitywniejszych z możliwych. Pęczek piętnastu lasek dynamitu, oklejonych szarą taśmą izolacyjną. Zamiast lontu Rollie Wedge zastosował detonator czasowy w postaci zwykłego budzika na sprężynę. Usunął wskazówkę minutową, między cyferkami

siedem i osiem wywiercił otworek i umieścił w nim kawałek drutu, który po zetknięciu ze wskazówką godzinową zamykał obwód i detonował bombę. Rollie chciał mieć więcej czasu, niż zapewniał piętnastominutowy lont. Poza tym uważał się za eksperta i postanowił poeksperymentować z nowym sposobem odpalania ładunku.

Być może wskazówka godzinowa była lekko zwichrowana. Być może tarcza budzika nie była idealnie płaska. Być może Rollie za mocno lub za słabo nakręcił sprężynę. Być może drut nie był dość precyzyjnie wpasowany w tarczę. W końcu było to pierwsze podejście Rolliego do detonatora czasowego. A może wybuch nastąpił dokładnie tak, jak to sobie zaplanował.

Jakkolwiek było, w ramach kampanii bombowej Jeremiaha Dogana i Ku-Klux-Klanu w Missisipi popłynęła żydowska krew i praktycznie oznaczało to koniec kampanii.

Rozdział 2

Po zabraniu ciał policja z Greenville ogrodziła miejsce i nie pozwoliła nikomu się zbliżyć. W ciągu paru godzin sprawę przejęła grupa dochodzeniowa FBI z Jackson i jeszcze przed zapadnięciem zmroku ekipa rozbiórkowa zaczęła przeszukiwać rumowisko. Kilkudziesięciu agentów FBI przystąpiło do skrupulatnego wygrzebywania najdrobniejszych fragmentów i przekazywania ich dalej, gdzie je oglądano, pakowano i odkładano do późniejszych analiz. Wynajęto pusty magazyn bawełny na skraju miasta i zamieniono go w składowisko szczątków zebranych na miejscu zamachu.

FBI szybko nabrało pewności, że wstępna ocena okoliczności wybuchu była trafna: dynamit, zapalnik czasowy, kilka drutów. Prymitywna bomba sporządzona przez amatora, który miał szczęście, że nie wybuchła mu w rękach.

Marvina Kramera szybko przetransportowano samolotem do nowocześniejszego szpitala w Memphis, gdzie przez trzy kolejne dni jego stan był określany jako krytyczny, ale stabilny. Ruth Kramer w stanie szoku też trafiła do szpitala – najpierw w Greenville, potem przewieziono ją karetką do tego samego szpitala w Memphis i położono w jednym pokoju z mężem. Państwo Kramerowie dzielili nie tylko pokój, ale i baterię tych samych środków uspokajających. Opiekowała się nimi cała armia lekarzy i krewnych. Ruth urodziła się i dorastała w Memphis, więc krewnych i przyjaciół im nie brakowało.

Gdy opadły tumany kurzu i fragmentów biura Marvin'a, sąsiedzi mający w pobliżu sklepy i biura zabrali się do uprzątnięcia kawałków szkła z chodników. Rozmawiając między sobą, obserwowali, jak policja i ekipy ratownicze przystępują do rozgrzebywania rumowiska. Niedługo potem wszystkich zelektryzowała pogłoska, że policja ma już podejrzanego. Koło południa wszyscy wiedzieli, że podejrzany nazywa się Sam Cayhall, pochodzi z Clanton w stanie Missisipi, jest członkiem Ku-Klux-Klanu i odniósł w zamachu drobne obrażenia. Jedna z wersji zawierała przerażające szczegóły dotyczące wcześniejszych zamachów Cayhalla. Opowiadano o potwornie okaleczonych ofiarach i podkreślano, że za każdym razem celem ataku była czarna biedota. Inni mówili o heroicznej akcji miejscowej policji, która w ciągu paru sekund od zamachu wytropiła odpowiedzialnego za niego szaleńca. W południowych wiadomościach lokalnej stacji telewizyjnej potwierdzono oficjalnie to, o czym wszyscy już wiedzieli: w wybuchu zginęli dwaj mali chłopcy, ich ojciec został ciężko ranny, a policja aresztowała niejakiego Sama Cayhalla.

Omów go zresztą nie wypuszczono za trzydziestodolarową kaucją. W drodze do aresztu odzyskał przytomność umysłu na tyle, by gorąco przeprosić rozeźlonych policjantów za nieustąpienie im miejsca. W rezultacie oskarżono go tylko o drobne wykroczenie i zamknięto w policyjnej izbie zatrzymań, gdzie miał poczekać na zakończenie papierkowej roboty i wyjść na wolność. Policjanci, którzy go tu przywieźli, wrócili do radiowozu i pojechali na miejsce wybuchu.

Zatrzymanym zajął się stróż, który jednocześnie pełnił funkcję policyjnego medyka. Przyniósł mocno sfatygowany zestaw pierwszej pomocy, obmył Samowi twarz z zakrzepłej krwi i zdezynfekował. Krwawienie ustało, a Sam jeszcze raz powtórzył swoją bajeczkę, że wdał się w bójkę w barze. Zwykłą pijacką burdę. Stróż poszedł, a po godzinie w okienku izby zatrzymań pojawiła się głowa pomocnika strażnika, który przyniósł do podpisania oficjalny protokół. Oskarżono w nim

Sama o nieustąpienie drogi pojazdowi uprzywilejowanemu w akcji i ustalono kaucję w wysokości trzydziestu dolarów. Strażnik oświadczył, że jeśli Sam wpłaci ją gotówką, będzie mógł wyjść, jak tylko policjanci zakończą formalności i zdejmą plomby z jego samochodu. Przez następne pół godziny Sam nerwowo krążył po izbie, raz po raz zerkając na zegarek i masując sobie skaleczony policzek.

Wiedział, że będzie musiał zniknąć. Opis jego zatrzymania trafił do protokołu policyjnego i nie potrwa długo, zanim te matoly powiążą go z zamachem bombowym, a wtedy... No cóż, nie pozostawało mu nic innego, jak stąd zniknąć. Wyjedzie z Missisipi, może dołączy do Rolliego Wedge'a i razem prysną do Brazylii albo gdzieś indziej. Dogan da im forszę. Jak tylko wyjedzie z Greenville, od razu o wszystkim go poinformuje. Jego własny samochód stoi na parkingu ciężarówek w Cleveland. Przesiadzie się z pontiaca, pojedzie do Memphis i wsiądzie w pierwszego lepszego greyhounda*.

Tak, tak właśnie robi. Zachował się jak osioł, wracając na miejsce przestępstwa, ale jeśli tylko zachowa zimną krew, ci durnie go wypuszczą.

Pół godziny później strażnik wrócił z następnym formularzem, Sam wręczył mu trzydzieści dolarów i dostał pokwitowanie. Poszedł za strażnikiem wąskim korytarzykiem do stanowiska dyżurnego, który wręczył mu wezwanie do stawienia się za dwa tygodnie przed oblicze sędziego grodzkiego w Greenville.

– A gdzie samochód? – spytał, chowając wezwanie.

– Spokojnie. Zaraz go przyprowadzą.

Sam spojrzął na zegarek i czekał. Przez małe okienko w obitych blachą drzwiach obserwował ruch na parkingu przed aresztem oraz wjeżdżające i wyjeżdżające samochody. Po piętnastu minutach drzwi się otworzyły i rosły policjant wepchnął do środka dwóch zalanych facetów. Sam niecierpliwie poprawił się na krześle i czekał dalej.

* Greyhound – linie autobusów dalekobieżnych w Stanach Zjednoczonych.

Gdzieś zza pleców dobiegł go męski głos, który spokojnie powiedział „pan Cayhall”. Odwrócił głowę i ujrzał niskiego mężczyznę w mocno znoszonym ubraniu, który wyjął odznakę i machnął mu nią przed nosem.

– Śledczy Ivy, policja miejska w Greenville. Muszę zadać panu parę pytań. – Wskazał ręką rząd drzwi w korytarzu, Sam posłusznie poszedł za nim.



Gdy tylko zasiedli po dwóch stronach zaplamionego biurka, Samowi Cayhallowi jakby odjęło mowę. Ivy miał niewiele ponad czterdzieści lat, ale był już nieco szpakowaty, a wokół oczu widać było siateczkę głębokich zmarszczek. Wyjął paczkę cameli bez filtra, zapalił, podał ją Samowi i spytał, skąd się wzięły skaleczenia na jego twarzy. Sam wziął papierosa, ale nie zapalił. Rzucił palenie wiele lat temu i choć w tym momencie czuł ogromną ochotę na zaciągnięcie się dymem, postukał tylko papierosem o blat biurka. Nie podnosząc wzroku na Ivy’ego, wymamrotał, że chyba się z kimś pobił.

Ivy cicho parsknął, jakby się spodziewał takiej odpowiedzi, i Sam już wiedział, że ma do czynienia z zawodowcem. Ogarnął go strach, zaczęły mu drżeć ręce. Oczywiście nic z tego nie umknęło uwadze Ivy’ego. Gdzie ta bójka się odbyła? Z kim się pobił? Kiedy to się stało? Dlaczego bił się w Greenville, skoro mieszka trzy godziny drogi stąd? Skąd ma ten samochód?

Sam uparcie milczał. Ivy zasypywał go pytaniami, jednak on na żadne nie mógł odpowiedzieć, bo kłamstwo prowadziło by do kolejnych kłamstw i Ivy w ciągu paru chwil zapędziłby go do narożnika.

– Chcę rozmawiać z adwokatem – wydusił w końcu.

– To świetnie, Sam – ucieszył się Ivy. – Myślę, że dokładnie tak powinienes zrobić. – Zapalił kolejnego camela i wydmuchnął kłęb dymu w stronę sufitu. – Bo widzisz, mieliśmy tu rano mały wybuch. Może coś słyszałeś? – Sarkazm w głosie Ivy’ego był aż nazbyt słyszalny.

– Nie słyszałem.

– Tragedia. Ktoś podłożył bombę w biurze miejscowego

adwokata, niejakiego Kramera. Dwie godziny temu. Wiesz, to pewnie robota tych cholernych kluksów. U nas nie ma żadnych kluksów, ale Kramer jest Żydem. Niech zgadnę: nic o tym nie wiesz, prawda?

– Nie wiem.

– To naprawdę strasznie smutne. Bo widzisz, Kramer miał dwóch synków, Josha i Johna, i los tak chciał, że gdy ta bomba wybuchła, oni akurat byli w jego biurze.

Sam głęboko zaczerpnął powietrza i spojrzał na Ivy'ego. I co dalej? – naglił jego wzrok.

– No i tych chłopców, bliźniaków, uroczych pięciolatków, rozerwało na strzępy. Obaj zginęli.

Sam opuścił głowę tak nisko, że jego broda zawisała dwa centymetry nad klatką piersiową. Mają go. Oskarżą o morderstwo. Podwójne. Zaczną się adwokaci, rozprawy, sędziowie, ławy przysięgłych. Przymknął oczy.

– Może ich tata jakoś się z tego wyliże. Jest teraz w szpitalu i czeka go operacja. Ale chłopcy są już w kostnicy. Prawdziwa tragedia. Tylko że ty, Sam, nic o tej bombie nie wiesz, tak?

– Tak. Chcę rozmawiać z adwokatem.

– Oczywiście. – Ivy powoli wstał z krzesła i wyszedł z pokoju.



Okruch szkła wyjęty przez chirurga z policzka Sama wysłano do laboratorium FBI. Wynik analizy nikogo nie zdziwił: szkło było identyczne z szybami w oknach biura Kramera. Szybko też ustalono, że zielony pontiac, w którego bagażniku znaleziono piętnastominutowy lont, należy do Jeremiaha Dogana z Meridian. Znalazł się też naoczny świadek, który zeznał, że dostarczając o czwartej rano towar, widział zielonego pontiaca w pobliżu biura Kramera.

FBI dopilnowało, żeby do prasy natychmiast trafiło, że Sam Cayhall jest od wielu lat aktywnym członkiem Klanu i był już głównym podejrzanym w paru wcześniejszych zamachach bombowych. Sprawę uznano za rozwiązaną i na policję w Greenville posypały się słowa uznania. J. Edgar Hoover wydał

w tej sprawie osobiste oświadczenie.

Dwa dni po zamachu chłopców pochowano na małym miejscowym cmentarzu. W owym czasie w Greenville mieszkało stu czterdziestu sześciu Żydów i poza Marvinem i sześcioma innymi wszyscy oni uczestniczyli w uroczystościach pogrzebowych. Grupa reporterów i fotoreporterów przybyłych z całego kraju była dwukrotnie liczniejsza.



Następnego dnia Sam w swojej ciasnej celi obejrzał fotografie i przeczytał relacje z pogrzebu. Pomocnik strażnika Larry Jack Polk był miejscowym prostakiem i zdążył się już z Samem zaprzyjaźnić, bo – jak mu wyznał szeptem – miał kuzynów w Klanie i sam też chętnie by do niego wstąpił, tylko że żona mu na to nie pozwoliła. Codziennie rano donosił Samowi świeżą kawę i poranne gazety, nie kryjąc podziwu dla jego wiedzy w temacie bomb.

Poza wypowiadaniem paru słów niezbędnych do manipulowania Larrym, Sam praktycznie milczał. Dzień po zamachu postawiono mu formalny zarzut podwójnego morderstwa pierwszego stopnia, więc jego myśli krążyły głównie wokół komory gazowej. Odmawiał wszelkich rozmów z Ivym i resztą policjantów, a także z agentami FBI. Reporterzy chętnie by go popytali, ale na drodze stawał im Larry Jack, który nie dopuszczał ich do więźnia. Cayhall zadzwonił do żony, kazał jej siedzieć w domu i nikomu nie otwierać. Zamknięty w izolatce z surowych bloczków z żużlobetonu Sam zaczął pisać pamiętnik.

Żeby Rollie Wedge mógł też być postawiony w stan oskarżenia, gliniarze musieliby go najpierw znaleźć. Wstępując do Klanu, Cayhall złożył przysięgę, która była dla niego święta. Przysiągł, że nigdy, przenigdy nie doniesie na innego członka Ku-Klux-Klanu. Pozostawało mu tylko mieć nadzieję, że Jeremiasz Dogan równie serio potraktuje swoją przysięgę.

Dwa dni po zamachu w Greenville pojawił się Clovis Brazelton – adwokat z dość mętną reputacją i szopą włosów na głowie. Był nieformalnym członkiem Klanu i w Jackson miał

złą sławę obrońcy różnego autoramentu rzezimieszków. Chciał startować w wyborach na gubernatora, twierdził, że występuje w obronie białej rasy, że FBI to sataniści, że czarnych należy chronić, ale nie pozwalać im zadawać się z białymi i tak dalej, i tak dalej. Dogan wysłał go do Greenville, żeby zajął się obroną Sama Cayhalla i jednocześnie dopilnował, by ten trzymał głowę na kłódce. FBI siedziało mu na karku w związku z zielonym pontiakiem i Dogan bał się, że może zostać oskarżony o współudział w zamachu.

Clovis z miejsca wyjaśnił swemu klientowi, że ktoś oskarżony o współudział w spisku jest tak samo winny jak ten, kto pociąga za spust. Sam go słuchał, ale mówił mało. Słyszał wcześniej o Brazeltonie i jeszcze mu nie ufał.

– Sam, posłuchaj – powiedział Clovis takim tonem, jakby miał do czynienia z tępym pierwszoklasistą, któremu trzeba wszystko wyjaśnić. – Wiem, kto podłożył tę bombę. Dogan wszystko mi powiedział. Jeśli dobrze liczę, to wie o tym nas czterech: ja, ty, Dogan i Wedge. Dogan jest prawie pewny, że Wedge’a nigdy nie znajdą. Nie mają z sobą kontaktu, ale Dogan wie, że chłopak ma głowę na karku, i jest przekonany, że już zdążył zwać za granicę. Czyli jesteś ty i Dogan. Szczerze powiem, że lada chwila spodziewam się postawienia zarzutów Doganowi. Jednak gliny będą miały problem z oskarżeniem go o cokolwiek, chyba że uda im się udowodnić, że wszyscy trzech spiskowaliście z zamiarem wysadzenia biura tego Żyda. A będą to mogli zrobić jedynie wówczas, gdy ty im o tym powiesz.

– Znaczy mam wszystko wziąć na siebie?

– Nie. Masz tylko milczeć w sprawie Dogana. Wszystkiemu zaprzeczaj. Sfabrykujemy historię tego samochodu. Zostaw to mnie. Załatwię przeniesienie postępowania do innego okręgu, może gdzieś w góry, gdzie nie ma Żydów. Zbierzemy czysto białą ławę przysięgłych i tak im namieszam w głowach, że obaj wyjdziemy na bohaterów. Już ja się tym zajmę.

– Myślisz, że nie zostanę skazany?

– Jasne, że nie. Słuchaj, Sam, uwierz mi na słowo. Zbierzemy na ławie przysięgłych tylko patriotów, ludzi takich jak ty.

Wyłącznie białych. Zaniepokojonych tym, że ich dzieci muszą chodzić do jednej szkoły z czarnuchami. Zbierzemy dwunastu przyzwoitych ludzi, posadzimy na ławie przysięgłych i opowiemy im, jak żydowskie parchy mieszą w tak zwanych prawach obywatelskich. Zaufaj mi. Łatwo sobie poradzimy. – Clovis pochylił się nad koślawym stołem i poklepał Sama po ramieniu. – Uwierz mi, mam w tych sprawach doświadczenie.

Parę godzin później Sama zakuto w kajdanki i w asyście policjantów z Greenville zaprowadzono do radiowozu. Przy wyjściu z aresztu został obfotografowany przez gromadkę fotoreporterów. Inna grupa ich kolegów czekała na niego i jego obstawę przed budynkiem sądu.

Sam stanął przed sędzią grodzkim w towarzystwie swego obrońcy, mecenasa Clovisa Brazeltona, który zrezygnował ze wstępnego przesłuchania i zastosował jeszcze parę innych kruczków prawnych. Cała procedura trwała dwadzieścia minut, po czym Sama odwieziono z powrotem do aresztu. Wcześniej Clovis obiecał mu, że za parę dni wróci i zajmie się strategią, po czym wyszedł z budynku sądu i dał pokaz pozwania przed obiektywami reporterów.



Minął miesiąc, nim histeria lokalnych mediów w Greenville zaczęła opadać. Piątego maja 1967 roku oficjalnie oskarżono Sama Cayhalla i Jeremiaha Dogana o morderstwo pierwszego stopnia i miejscowy prokurator okręgowy ogłosił, że wystąpi o karę śmierci dla obu oskarżonych. Nazwisko Roliego Wedge'a nie pojawiło się ani razu. Policja i FBI nawet nie wiedziały o jego istnieniu.

Clovisowi, który reprezentował obu oskarżonych, udało się doprowadzić do zmiany miejsca rozprawy i w rezultacie czwartego września 1967 roku proces ruszył w stolicy okręgu Nettles, trzysta dwadzieścia kilometrów od Greenville. Od początku wszystko było jedną wielką farsą. Członkowie Ku-Klux-Klanu rozłożyli obozowisko na trawniku przed budynkiem sądu i zaczęli hałaśliwie wiecować. Ściągnięto członków Klanu z innych stanów i nawet utworzono oficjalną listę mówców.

Z Sama Cayhalla i Jeremiaha Dogana zrobiono symbole supremacji białej rasy, a ich zakapturzeni wielbicielę po tysiąc-kroć skandowali drogę sercu nazwiska.

Prasa wszystko obserwowała i czekała. Sala rozpraw aż pękała w szwach od fotoreporterów i dziennikarzy, ci zaś, którym się nie poszczęściło, musieli zadowolić się biwakowaniem przed budynkiem sądu. Siedząc w cieniu drzew, przyglądali się wiecującym kluksom i przysłuchiwali ich wystąpieniom. Z im większym zainteresowaniem to robili, tym przemówienia stawały się dłuższe.

Na sali rozpraw wszystko szło po myśli Cayhalla i Dogana. Brazelton postawił na swoim i dopilnował, by na ławie przysięgłych zasiadło dwunastu białych patriotów – jak upierał się ich nazywać – po czym przystąpił do wytykania poważnych niedociągnięć w akcie oskarżenia. Przede wszystkim, jego zdaniem, sprawa było czysto poszlakowa. Nikt nie widział Cayhalla podkładającego bombę. Clovis mówił o tym głośno i dobitnie w swoim wstępnym wystąpieniu i wywarło to odpowiednie wrażenie na przysięgłych. Według jego wersji Cayhall po prostu pracował u Dogana, na jego polecenie pojechał do Greenville i przypadkiem znalazł się akurat w pobliżu kancelarii Kramera. Mówiąc o tragicznym losie dwóch nieszczęśliwych chłopców w biurze taty, miał prawdziwe łzy w oczach.

Lont w bagażniku samochodu prawdopodobnie został po poprzednim użytkowniku auta, niejakiem Carsonie Jenkinsie, właścicielu firmy rozbiórkowej. Powołany na świadka Jenkins zeznał przed sądem, że w ramach obowiązków służbowych ma bez przerwy do czynienia z dynamitem i widocznie zostawił w bagażniku kawałek lontu, zanim sprzedał samochód Doganowi. Poza tym nauczał on w niedzielnej szkółce kościelnej i był spokojnym, ciężko pracującym obywatelem – prawdziwą solą tej ziemi – któremu nie sposób było nie wierzyć. O tym, że także należał do Ku-Klux-Klanu, FBI już nie wiedziało. Clovis bezbłędnie wykorzystał Jenkinsa w roli świadka.

Policja ani FBI nigdy nie wykryły, że Cayhall zostawił swój samochód na parkingu dla ciężarówek w Cleveland. Podczas pierwszej rozmowy telefonicznej z aresztu polecił żonie, by

natychmiast wysłała do Cleveland ich syna, Eddiego, i kazała mu zabrać samochód. Dla obrony było to wyjątkowo szczęśliwe posunięcie.

Ale najmocniejszym argumentem Clovisa Brazeltona było twierdzenie, że nikt nie może udowodnić jego klientom uczestnictwa w jakimkolwiek spisku, więc jak moglibyście wy, przysięgli okręgu Nettles, skazać tych dwóch solidnych obywateli na śmierć?

Po czterech dniach procesu przysięgli udali się na naradę. Clovis zapewnił swoich klientów, że zostaną uniewinnieni, oskarżenie też było pewne przegranej. Kluksi na trawniku przed budynkiem sądu zwietrzyli zwycięstwo i zaczęli jeszcze głośniej wiecować.

Oskarżonych ani nie uniewinniono, ani nie skazano. Ku zaskoczeniu wszystkich, dwóch przysięgłych się zaparło, obstając przy uznaniu oskarżonych za winnych. Po trwających półtora dnia obradach przewodniczący ławy przysięgłych był zmuszony poinformować sąd, że przysięgli nie są w stanie się porozumieć. Sędzia unieważnił postępowanie i Sam Cayhall po pięciu miesiącach nieobecności wrócił do domu.



Ponowny proces rozpoczął się sześć miesięcy później przed sądem w Wilson, stolicy rolniczego okręgu, cztery godziny drogi od Greenville i sto sześćdziesiąt kilometrów od miejsca pierwszego procesu. Jako że podczas pierwszego zgłaszano skargi na próby nacisku na przysięgłych ze strony członków Ku-Klux-Klanu, sędzia z niewyjaśnionych przyczyn podjął decyzję o przeniesieniu procesu do okręgu aż rojącego się od sympatyków Klanu. Ława przysięgłych była znów czysto biała i z całą pewnością wolna od żydowskich wpływów. Clovis wygłosił przed nią te same mowy i położył nacisk na te same sprawy, Carson Jenkins powtórzył te same kłamstwa.

Oskarżenie nieco zmieniło strategię, jednak nic to nie dało. Prokurator zmienił kwalifikację z morderstwa pierwszego stopnia na zwykłe morderstwo, a to oznaczało, że oskarżonym nie tylko nie groziła kara śmierci, ale ława przysięgłych miała

prawo uznać Cayhalla i Dogana za winnych zwykłej napaści ze skutkiem śmiertelnym. Stanowiło to dużo lżejszy zarzut, choć i tak wymagający wyroku skazującego.

Drugi proces różnił się od pierwszego także pod innym względem. W pierwszym rzędzie miejsc dla publiczności zasiadł na wózku inwalidzkim Marvin Kramer i przez trzy dni trwania procesu świdrował wzrokiem ławę przysięgłych. Ruth próbowała uczestniczyć w poprzednim procesie, ale szybko się poddała i wróciła do Greenville, gdzie przyjęto ją do szpitala z oznakami załamania nerwowego. Marviną kilkakrotnie wypuszczano ze szpitala i znów przyjmowano, a lekarze nie wyrazili zgody na jego uczestnictwo w procesie w Nettles.

Większość przysięgłych nie wytrzymała jego wzroku i odwracała głowy. Wręcz nie patrzyli w stronę publiczności, okazując niezwykle zainteresowanie zeznaniami świadków. I tylko jedna z przysięgłych, młoda kobieta, niejaka Sharon Culpepper, matka bliźniąt, nie potrafiła się opanować i wciąż zerkła na Marviną. Ich oczy często się spotykały, a we wzroku Marviną było nieme błaganie o sprawiedliwość.

Sharon Culpepper była jedyną z dwunastki przysięgłych, która od początku głosowała za uznaniem oskarżonych za winnych. Przez dwa dni była atakowana i szkalowana przez kolegów przysięgłych, którzy wyzywali ją od najgorszych i doprowadzali do płaczu, jednak uparcie trwała przy swoim zdaniu.

Obrady przysięgłych zakończyły się niemożnością uzgodnienia werdyktu przy stanie głosów jedenaście do jednego, sędzia znów musiał unieważnić postępowanie i odesłać wszystkich do domu. Marvin Kramer wrócił do Greenville, skąd pojechał do Memphis na kolejne zabiegi. Clovis Brazelton urządził show dla prasy, prokurator okręgowy nie zapowiedział następnego procesu. Sam Cayhall wrócił do Clanton, przyrzekając sobie w duchu, że zerwie wszelkie kontakty z Doganem. A Wielki Mag triumfalnie powrócił do Meridian, gdzie wygłosił do swego ludu mowę o tym, że walka o supremację białej rasy dopiero się zaczęła, ale dobro zwyciężyło zło i tak dalej, i tak dalej.

Nazwisko Roliego Wedge'a pojawiło się tylko raz. W czasie przerwy obiadowej w trakcie drugiego procesu Dogan szepnął Cayhallowi, że dostał od chłopaka wiadomość. Przekazał mu ją jakiś nieznajomy, który podszedł do żony Dogana na korytarzu przed salą rozpraw. Wiadomość była krótka i jednoznaczna. Wedge ukrywa się w pobliskim lesie i pilnie śledzi przebieg procesu. Jeśli Dogan lub Cayhall o nim wspomną, po ich domach i rodzinach nie będzie co zbierać.

Zainteresowani tym, co będzie dalej?

Pełna wersja książki do kupienia m.in. w księgarniach:

- KSIĘGARNIE ŚWIAT KSIĄŻKI
- EMPIK

Oraz w księgarniach internetowych:

- swiatksiazki.pl
- empik.com
- bonito.pl
- taniaksiążka.pl

Zamów z dostawą do domu lub do paczkomatu – wybierz taką opcję, jaka jest dla Ciebie najwygodniejsza!

Większość naszych książek dostępna jest również **w formie e-booków**.
Znajdziecie je na najpopularniejszych platformach sprzedaży:

- [Virtualo](#)
- [Publio](#)
- [Nexto](#)

Oraz w księgarniach internetowych.

Posłuchajcie również naszych **audiobooków**, zawsze czytanych przez najlepszych polskich lektorów.

Szukajcie ich na portalu [Audioteka](#) lub pozostałych, wyżej wymienionych platformach.

Zapraszamy do księgarni i na stronę wydawnictwoalbatros.com, gdzie prezentujemy wszystkie wydane tytuły i zapowiedzi.

Jeśli chcecie być na bieżąco z naszymi nowościami, śledźcie nas też na [Facebooku](#) i na [Instagramie](#).